



Pietno

KAROLINA KASPRZAK-DIETRICH

Karolina Kasprzak-Dietrich

Piętno

Copyright by Karolina Kasprzak-Dietrich 2023

Korekta: Karolina Szastok

Projekt okładki: Andrzej Konefał

ISBN: 978-83-968106-7-0

Wydawca: Karolina Kasprzak-Dietrich



Patronat medialny:



Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2023

Prolog

Płomienie coraz to szybciej cięły płachtę ciemnej nocy. Czuć było już tylko spaleniznę, a kłęby dymu powoli rozprzestrzeniały się, ograniczając widoki. Ognie przeskakiwały z firanki na zasłonkę, z zasłonki na drewniane elementy zdobiące niewielką kuchnię, by na końcu osiąść na przemalowanej na seledynowo, postkomunistycznej boazerii. Wdzierały się coraz to głębiej, panosząc się po całym domu, a katastroficznie rozwichrzone spaliny z każdą sekundą smoliły napotkane przedmioty – przewodziły płomieniom ognia, zaznaczając, co powinien teraz zniszczyć. Widok był na tyle przerażający, że wmurował siedmioletnią dziewczynkę w podłozę. Stała boso na mokrej od rosy trawie i nie miała siły ruszyć ani ręką, ani nogą. Gdyby potrafiła wydusić słowo, to z pewnością zaczęłaby wzywać pomocy. Jednak język, tak samo jak i ciało, stał się odrętwiały. Wiedziała, że w sypialni, na pierwszym piętrze, głębokim snem śpią jej rodzice. Bogna była roztrzęsiona z powodu zaistniałej sytuacji – jeżeli można było użyć tego przymiotnika z racji jej wieku, bo ona sama raczej na tamten moment nie potrafiła określić, co czuje. Nie rozumiała również jakim cudem zaprószył się ogień. I nie sądziła, że będzie tak ekspansywny, to wszystko przerosło jej wyobraźnię. Pomyślała o zapałkach, które leżały zazwyczaj na lodówce i których ciągle szukała zamroczona alkoholem matka. „Gdzie są zapałki, gnido?”, mruzczała, bełkocząc niewyraźnie, ale Bogna zawsze potrafiła odczytać wszystkie obelgi rzucane pod jej adresem. Nawet wtedy, kiedy dostała śmierzdzącą ścierą w twarz, że aż zahuczało jej w uszach. W rezultacie zapałki to był jedyny przedmiot w domu, który przed matką chowała. Od zawsze bała się ognia. Rodzicielka zazwyczaj zasypiała z zapalonym papierosem w ustach, czego efektem były liczne dziury na podłokietnikach starego fotela i wzorzystym dywanie. Tylko wódki nie odważyła się schować, zaledwie raz spróbowała i wcale się to dla niej dobrze nie skończyło. Przez tydzień nie chodziła do szkoły, bo wstyd jej było przed rówieśnikami.

Czerwone pręgi od bicia wąskim pasem i liczne siniaki pokrywały wówczas całe jej ciało. Nauczycieli przekonało kłamstwo, że spadła ze schodów, ale uczniowie nie dali się oszukać. Była wyszydzana, mówiono o niej „Bryniara”. Dziwne, że to dziecko musi płacić za błędy rodziców.

Spoglądając na rozogniony dobytek usłyszała okrzyki przestachu. Wpierw ostry i przenikliwy matki, a potem ojca. To były te same głosy, te same wyzwiska, które słyszała co wieczór, odkąd sięgała pamięcią. Teraz, w mocnym zdenerwowaniu, bezsilne i coraz to słabsze, nagle ucichły, stały się bezgłośnie. Tylko szalejący wokoło ogień buchał, wzbudzając jeszcze większą grozę. Może chciał jedynie opowiedzieć historię o tym, co się wydarzyło za tymi czterema ścianami. „To już koniec”, pomyślała dziewczynka o anielskiej urodzie, z dwoma potarganymi warkoczycami. „To koniec, zostanę sierotą”. Łuna pożaru zaczęła razić jej oczy, a skóra zrobiła się gorąca jak lawa. Wszystko ją swędziało, więc zrobiła kilka kroków w tył, choć był taki moment, że żywcem chciała spłonąć. Była nieletnia, a ciągle traciła sens życia. Nagle poczuła na swoim ramieniu silny, gorący uścisk. Obejrzała się i zobaczyła piękną złotowłosą dziewczynkę z sąsiedztwa. Znały się tylko z widzenia, czasem mówiąc sobie cześć, przechodziły obok siebie, hacząc łokciami. Były rówieśniczkami, gdyż chodziły do tego samego przedszkola, jednak do innych grup. Dziewczynka z sąsiedztwa, mimo młodego wieku, miała wyrysowaną na twarzy mądrość. Dlatego Bogna tak bardzo ją polubiła. Dotąd niedostępna, chroniona przez swoich rodziców, była dla niej zagadką. Często wyobrażała sobie, że ona jest tą dziewczynką i że to jej dzieciństwo jest takie szczęśliwe. Najbardziej podobał się Bognie ten gruby, złoty warkocz, którym koleżanka z przedszkola miała codziennie oplecioną głowę. Był nienaganny, a na samym końcu uwieńczony różową kokardką – widać było, że matka dziewczynki bardzo się przykłada. Przypominał koronę, dlatego Bogna nazwała ją Queen. Była piękna i nieosiągalna jak prawdziwa królowa.

Nagle stało się coś, co malutką Bognę bardzo zaskoczyło. Queen się zjawiła i schwyciła ją za rękę. To ona kazała się cofnąć tych parę kroków. Pilnowała Bogny, by ta nie zrobiła żadnej głupoty. Z oddali usłyszały dźwięk strażackich syren. Nie rozumiała dlaczego, ale Queen mocno schwyciła ją za rękę i zmusiła do ucieczki. Pocieszała ją w biegu, mówiąc: „To nie twoja wina. To nie twoja wina!”. Skąd wiedziała, że Bogna się obwinia, że czuje się podle, może znała ją lepiej, niż jej się wydawało. Na ten moment niczego nie rozumiała. Królowa, zostawiając ją w gęstych zaroślach, nagle zaczęła się oddalać, jakby bojąc się skarcenia przez matkę. W krzaku dzikiej róży samotnie przespała całą noc. Obudziła się z poszarpaną skórą, zewsząd sączyła się czerwona krew. Gdzie nie gdzie wbity w jej bladą skórę kolec świadczył o tym, że dziki krzak nie był dla niej łaskawy. Rozglądała się za Queen, ale bezskutecznie. Ktoś szedł ulicą, głośno wywołując jej imię; krzychał wniebogłoso. To był ochrypły głos wujaszka Zenka, brata jej ojca. „Co teraz będzie, co będzie”, pytała, ale sama nie wiedziała kogo. Spoglądała na soczystego, różowego pąka, który ocierał się o skórę na jej policzku, był jeszcze mokry od rosy. Miała tylko nadzieję, że Queen się pojawi, była taka ciepła i biła od niej dobroć. Już za nią tęskniła, czuła, że jest to jej bratnia dusza.

Z oddali ujrzała swój rodzinny dom, wyglądał strasznie. To już nie był jej dom, tylko zwęglona bryła ze zrujnowanym dachem. Prawdziwe pogorzelnisko. Tak ją potem nazywali mieszkańcy Kamiennej Góry: „Pogorzelnka”. Jak ona tego nie lubiła.

– Bogna, Bogna, kochanie, gdzie ty jesteś? – Wujek Zenek nie dawał oporu i wciąż z troskanym głosem ją wołał.

Cały czas bała się wyjść z ukrycia. Cały czas biła się w pierś, że mogła ostrzec rodziców.

Rozdział I

Czternaście lat później

20 marca 2020 r., noc

She and She

BOGNA

Kosmiczny pył ustąpił. Na wieczornym, wczesnowiosennym niebie można było zaobserwować jasno świecące gwiazdy. Ciepłe, późne wieczory sprzyjały obserwacji, a bladoniebieskie oczy Bogny, które teraz wydawały się być bardziej szare, wlepione były w granatowoczną otchłań jak zahipnotyzowane. Ani jeden miesiąc mimiczny nie drgnął, blada twarz, którą zewsząd okalały brązowe kosmyki, wyglądała jak postument. Aż jeden z przechodniów, spieszący się do pracy na nocną zmianę, spojrzawszy w okno dość nowoczesnego bloku na pierwszym piętrze, pomyślał, że to sporych rozmiarów głowa lalki. Bogna pozostawała niewzruszona. Gapiła się wcale nie tępym wzrokiem w elipsę i w duchu wypowiadała życzenia. Była świadoma równonocy wiosennej i tego, że słońce właśnie osiągnęło punkt Barana. Planeta weszła w malownicze konfiguracje z księżycem.

– Wszystko się ułoży, ja już siebie odnalazłam, wiem kim byłam, kim jestem i wiem, kim chcę być. Nie mogę sugerować się opinią moich wrogów – szepnęła w końcu, a ruch jej warg był bardzo powolny, jak u robota.

Za nieprzyjaciół uważała prawie wszystkich, no może za wyjątkiem Queen, czyli Iwony Smęcińskiej, koleżanki z dzieciństwa, i wujaszka Zenka, który ją wychował, wcześniej tocząc batalię z sądem, a teraz uczynił ją swoją jedyną spadkobierczynią. Ewentualnie pani Stasi

Zgorzelskiej, dziewięćdziesięcioletniej sąsiadki z piętra wyżej, której nie raz pomagała we wniesieniu zakupów do mieszkania. Bogna była grzeczna i uczynna, chociaż samotna, gdyż blokady jakie powstały w we wczesnym wieku dojrzewania jakby zastygły, nie chcąc dać odporu, trwały jak kamień. Pani Stanisława, mimo sędziwego wieku i życiowej mądrości, nigdy nie czyniła dziewczynie żadnych wyrzutów ani daremnych nauk. A przecież Bogna uczyniła ją swoją powiernicą. Jak na swój młody wiek, bo liczyła sobie dwadzieścia jeden wiosenek, wiele już przeszła, życie ją przeorało i dzięki temu, a była pojętą uczennicą, potrafiła wyciągnąć wnioski. Nieraz płakała starszej pani w szare palto i mówiła, że jej życie jest do niczego. Ta tylko głaskała ją po głowie, pocieszając, że tak naprawdę życie jest jak fortepian. Dni są różne tak jak czarne i białe klawisze – gdyby nie to, to nie mielibyśmy pojęcia, co to jest piękna muzyka. Bognie bardzo spodobaly się te słowa i zaraz przekazała je Iwonie, która nadal pozostawała królową przez wzgląd na piękny warkocz, który nosiła w dzieciństwie. Z tym że Queen, mimo swojej wierności, czasem bywała nieuchwytna. Właścicielka sporej firmy odzieżowej, bo przecież jej bogaci rodzice jeszcze przed swoją śmiercią zdążyli ją ustawić finansowo, była w ciągłych rozjazdach, przez co miała niedostępny telefon. Zazwyczaj wtedy, kiedy Bogna jej najbardziej potrzebowała. Fakt, po tygodniach milczenia potrafiła to wszystko wynagrodzić, zapraszała do drogich restauracji, kupowała wcale nie tanie prezenty i nie odstępowała jej na krok. A przynajmniej do czasu kolejnego służbowego wyjazdu. Wtedy Bogna musiała liczyć tylko na siebie, a kiedy Queen znikwała, to czuła się jak bez ręki. Pamiętając jednak ich wspólne dzieciństwo, kiedy razem spędzały wakacje u wujaszka, i to, że Iwona była blisko niej w naprawdę ciężkich chwilach, starała się być wyrozumiała i nie czynić przyjaciółce wyrzutów. Ciężko jej było się zaaklimatyzować w nowym otoczeniu. Jednak wujek Zenek, ten, który wziął ją pod swoje skrzydła zaraz po tragicznej śmierci rodziców, zawsze powtarzał, że klin klinem przewyciężaj. Dlatego postanowiła wynieść się z gospodarstwa wujaszka i zacząć życie na własną kieszeń, z dala od Wielkopolski.

Wyjechała więc do Łodzi w celu kształcenia się w tamtejszym liceum, mieszkała w internacie, poznawała nowych ludzi, ale wówczas bardzo tęskniła za „Q”. Miały tu bardziej dogodne warunki, aby spotkać się i porozmawiać. Iwona bardzo się poświęciła, ponieważ zaraz po śmierci swoich rodziców również wyniosła się z Kamiennej Góry, by osiąść w Wielkopolsce. Czasem życiem ludzi rządzą przypadki.

– Teraz znowu jej nie ma – mruknęła w złości Bogna.

Na ten moment czuła, że nikomu za nic nie musi być wdzięczna. Wszystko do czego doszła, zdobyła sama. Po nieudanym związku z Michałem, który był synem Waldka Koczęby, kolegi jej wujaszka z branży rolniczej, postanowiła ułożyć sobie życie z kobietą. Czy była lesbijką? Tego nie potrafiła na ten moment określić. Młody Koczęba potrafił ją zadowolić w sprawach łóżkowych, ale był brutalny i nie zawsze higieniczny. Bogna od zawsze była estetką, brzydziła się czarnych paznokci, zapachu męskiego potu, nie wspominając o niemiłej woni męskich śluzów. Brzydziło ją to, a Michał nie potrafił tego zrozumieć ani się dostosować. Ewidentnie z higieną żył na bakier, jak każdy facet. Może to branża rolnicza, może wszyscy rolnicy tak mają? Jej wujaszek, którego traktowała jak ojca, był identyczny. Zawsze kiedy wracał z pracy, siadał do stołu w brudnym uniformie z byle jak umytymi rękoma, które wycierał w umorusany strój. Ani myślał się przebrać, a ilekroć Bogna zwracała mu uwagę, to zawsze kończyło się awanturą i rzucaniem sztućcami. W końcu zrozumiała, że czas ulecieć z gniazda, tak dla zdrowotności. Nie chciała takiego życia, lubiła pracę na roli, jednak nad życie kochała zwierzęta i to, że wujaszek chowa trzodę na ubój, bardzo ją zrażało. Nawet ten zapis w testamencie jej nie cieszył, bo wiedziała, i wujek też zdawał sobie z tego sprawę, że po jego śmierci część hodowli zlikwiduje, a resztę zwierząt będzie traktować z godnością, na jaką zasłużyły. Lubiła czystość, higienę i nowoczesność. Zresztą Queen była identyczna.

U wujka w gospodarstwie pracowała tylko i wyłącznie dlatego, że czasem potrzebowała pieniędzy, i zwyczajnie chciała się przylizać.

Starła się nie myśleć, że praca wzbudza w niej repulsję. Poza tym miała tam swojego pupilka, starego piętnastoletniego prosiaczka o imieniu Henio. Z chęcią wzięłaby go do swojego mieszkania, jednak – jak mówią – starych drzew się nie przekopuje, bo mogą tego nie wytrzymać i najzwyczajniej w świecie uschną. Bardzo za nim tęskniła i już odliczała dni, kiedy zajędzie do Świniar i weźmie go na smycz, by pospacerować po pobliskim lesie. Teraz, kiedy wróciła na stare śmieci, wcześniej prosząc wujaszka o to, by zakupił jej mieszkanie, czuła się całkiem dobrze. No i Queen była bliżej. To ona doradziła Bognie, by ta oczyściła swój umysł oraz organizm i przeszła na dietę wegańską. Tak też uczyniła, jednak ten luksus wcale nie był tani, a produkty rzadko dostępne. Bogna musiała manewrować taksówką – nie posiadała jeszcze swojego samochodu – po wszystkich gnieźnieńskich marketach. Kasa się rozplywała, a ona nie wiedziała kiedy, stówka uciekała za stówką. Dlatego zaciskała zęby i zmuszała się do pracy na roli. Przede wszystkim, w głębi duszy, nie chciała, by wujaszek zmienił swoją wolę, a chętnych na jego majątek było mnóstwo. Zenon Iwiński był kawalerem – bywało, że pod jego drzwiami ustawiały się kolejki wcale nie brzydkich kobiet. Na czele z Mariolą, służącą wujaszka. Świadomość tego, że jednej z nich być może uda się uwieść gospodarza, była bardzo niewygodna. Podkasywała więc rękawy i wio! do roboty.

Czasem miała ochotę założyć opaskę na oczy, żeby nie widzieć tych wszystkich umorusanych robotników, którzy w czasie przerw brudnymi rękoma zajadali tłuste kiełbasy zapodane przez panią Mariolę Konieczko. Lubiła niegdyś tę starszą kobiecinę, bo poniekąd była dla niej jak matka. Bogna jej żałowała, gdyż od lat, bez wzajemności, zakochana była w wujaszku Zenku. Jednak z czasem zaczęła ją drażnić. Ciągle tylko: „Bogna, zjedz mięso, bo zasłabniesz”, „Bogna, na tych warzywach to ty za daleko nie zajdziesz”, i tak w kółko. Strasznie to irytowało młodą spadkobierczynię. Wujaszka tak pochłonęły opieka nad Bogną i praca w gospodarstwie, że – nie ułożywszy sobie życia – lawirował pomiędzy młodymi kobietami. Raz brunetki, raz blondynki, ale żadna z nich nie zdołała wkupić się w jego

łaski na tyle, by ją poślubił i doczekał potomka. Mariolę bardzo to cieszyło, tak samo jak Bognę, i to najmocniej łączyło te dwie kobiety. Niestety starsza pani z talerzem tłustego żarcia wywoływała w Bognie jeszcze większe zohydzenie niż reszta robotników. Wszystkim od smalcu świeciły się nosy i policzki, co utwierdzało tylko Bognę w przekonaniu, że mięso nie jest dla niej. Kochała zwierzęta, jej zdaniem zasługiwały na większy szacunek niż sam człowiek. Nie rozgłaszała swoich poglądów, bo wszyscy na gospodarstwie gotowi by byli zjeść ją ze złości, a może z miłości do mięsa. I jeszcze jej Henio, najbardziej inteligentna świnka na świecie. Wszystko rozumiał, bardziej niż pies czy kot. I gdyby wujaszek oddał go na rzeź, to Bogna, na nic się nie oglądając, poszłaby razem z Heniem.

Uśmiechnęła się do siebie, widząc spadającą gwiazdę. Kolejny raz wypowiedziała życzenie:

– Gwiazdo, postaw na mojej drodze drugą kobietę, czystą i dobrą. Taką, z którą mogłabym ułożyć sobie życie, kochać się z nią i przytulać kiedy mi ciężko. Taką na całe życie, żeby była pracowita, ale zadbana. Czysta, niech ładnie pachnie. Taka trochę mamusia. – Po tych wypowiedzianych słowach w końcu zmieniła pozycję. Wypięła drobne pośladki, a twarz podparła na dłoniach, jednak nadal nie przestawała gapić się w niebo.

miesiąc później

ELIZA

Leniwym krokiem, jednak pewnym jak nic na świecie, bezkres elipsy nieba wkraczał wprost do baśniowego świata. Olbrzymia pomarańczowa gwiazda usypiała, a wiosenny powiew odczuwalny przy lekko uchylonym oknie napędzał energią spragnione odpoczynku ciało

Elizy. Siedziała na wersalce, lekko się kołysząc, w dłoniach dzierżyła szklaneczkę z białym Martini. Wyssała już cały miąższ z plasterka limonki, który jeszcze przed momentem zdobił rant naczynia. Skrawki żółtozielonej skórki, którą wcześniej ścisnęła tak, jakby chciała wydusić z niej trochę szczęścia, rzuciła niedbale na blat dębowej, nieco porysowanej ławy. Nic nie działało się wedle jej życzenia. Cały czas czuła się jak nikt, przysłowiowe zero. Zupełnie tego nie rozumiała. Wiele odbytych sesji terapeutycznych u zaprzyjaźnionej koleżanki, psycholog Dębskiej, nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. „Może dlatego, że zaprzyjaźnionej”, pomyślała z pełną rezygnacją, a nawet niemocą, aspirant Eliza Klejka. Prychnęła śmiechem na samo wspomnienie – fakt, sesje z Dębską były śmiechu warte. Zaczynało się całkiem poważnie: pierwsze zdanie, potem krótka odpowiedź, którą sama Eliza musiała odszukać, a potem jeden żart, drugi, gromki śmiech, kieliszek wina przegryziony kabanosem wieprzowym, i takie to były sesje. Lubiła psycholog Monikę Dębską, może dlatego, że była ona najbliższą kuzynką Marzeny Kuleszy, jej byłej partnerki. Kiedy Marzena odeszła, Elizy świat rozsypał się na kawałki, a odwiedzając raz w tygodniu Monikę, czuła się bliżej swojej eks. To było dziwne i niezrozumiałe, ale tak to czuła. Może dlatego, że mimo upływu czasu nie przestała jej kochać, tęsknić i wspominać. I może to było przyczyną jej obecnego podłego samopoczucia. Po odejściu Marzeny czuła jakby straciła rękę. Spojrzała na nadgarstek. Z chęcią zobaczyła by na nim jakiś niewielki tatuaż, miała ochotę się okaleczyć – to ją trochę przestraszyło. Nigdy nie lubiła tatuaży i pomazanych nimi ludzi. Więc skąd ten pomysł? Szybko schowała rękę pod pośladek, żeby już więcej o tym nie myśleć. Wiedziała, że tatuaż fajny i ładny jest tylko na początku, z czasem najzwyczajniej w świecie przeszkadza. Zmienia się światopogląd, zamiłowania i gust. A może pomysł z tatuażem to przez tę nieznaną dziewczynę, którą widziała zaledwie przez parę minut w knajpce Nemezis? Czuła, że coś się z nią dzieje, jakaś dziwna przemiana, której na ten moment nie potrafiła nazwać. Miała mętlik

w głowie, a czas wcale nie chciał tego wszystkiego uporządkować, choć starała się zachowywać wszelkie pozory.

Liczyła na to, że kiedy wyjedzie z rodzinnego miasta Strzelna, urwie wszelkie kontakty, nawet te rodzinne. Wszystko się ułoży, a ona zostanie z sobą sam na sam, dzięki czemu uda jej się zrozumieć siebie, dotrzeć w głębsze sfery swojej duszy. Odzyska równowagę, pogodzi się ze stratą. Bo jednak to była spora strata, gdyż z Marzeną planowała spędzić resztę swojego życia. A ona najzwyczajniej w świecie odeszła. Zostawiła ją z dnia na dzień, za wiele nie tłumacząc. Potem na swoim portalu udostępniała fotki z nową miłością, i to w dodatku mężczyzną. Eliza czuła się jakby została spoliczkowana. Nikt wcześniej jej tak nie upokorzył, nie знаła tego uczucia, nie wiedziała, co to zdrada. Gdzieś tam, w głębi ducha, mimo że z wierzchu zimna jak sople lodu i stateczna, czuła się pogubiona. Głęboko zakorzenione kompleksy wynikające z jej męskich rysów twarzy, muskularna sylwetka bez wcięcia w tali, kościste kolana, jednym słowem jej odbicie lustrzane blokowało ją przed kolejnymi miłosnymi ekspansjami. Nie potrafiła pierwsza wyjść z inicjatywą, a żeby się otworzyć, potrzebowała poznać drugiego człowieka. Dodatkowo hejt w rodzinnym mieście, notoryczny brak drugiej połówki, nieudane związki, a na końcu owa zdrada, jeszcze mocniej zaniżyły jej samoocenę. Wszystkie te wspomnienia odzywały się w jej głowie w najmniej oczekiwanym momencie. I mimo że w nowej pracy i w nowym mieście miała już wielu znajomych, to jednak kilkakrotnie zranione „ego” nie pozwoliło jej w stu procentach pozbierać się do kupy. Urodziła się lesbijką, zaakceptowała ten stan rzeczy, matka również – przynajmniej udawała, że akceptuje – choć twierdziła, że nie jest łatwo. Nie chciała już niczego zmienić. Najgorsze, że wcale dla siebie nie musiała próbować, kiedyś robiła to dla dobra ogółu. „Nigdy więcej”, szeptała w przenikający mrok niewielki pokój. „Jestem sobą i taka chcę umrzeć”. Jedyne raz spróbowała z mężczyzną, niby miała orgazm, niby było jej dobrze: chwycił ją za włosy, targał jej ciałem. Lubiła być sponiewierana, choć było jej za to wstyd, bo to niby jakieś odstępstwo od normy. W tamtych

chwilach zamykała oczy i wyobrażała sobie, że to kobieta nią tak miota, inaczej nie było mowy o jakichkolwiek doznaniach, raczej byłyby to męczarnia. Strasznie przeszkadzał jej zapach testosteronu. Nie mogła dotykać męskiego ciała, denerwowały ją napięte mięśnie, nie potrafiła spojrzeć w oczy, wplątać dłoni we włosy, dotknąć, a nawet spojrzeć TAM. Nie wspominając o tym, żeby wziąć męskie przyrodzenie w swoje usta. To nie była jej bajka, to nie byłaby ona. Jeżeli chodziło o sprawy płci przeciwnej, jedyne co jej imponowało, to chodzenie w męskich ubraniach i zapach męskich perfum. Lubiła grać faceta i pomagać kobietom, masować ich uszy czuylimi słówkami. W łóżku jednak, choć rzadko o tym mówiła, wołała, kiedy to partnerka dominowała. Taka właśnie była pokręcona. Znajomi żartobliwie mówili o niej androgyniczna Eliza. Westchnęła, upijając ostatni łyk Martini, i w ciemnym pokoju, który rozjaśniały tylko miliony gwiazd na niebie, odruchowo zaczęła szukać butelki, by zapełnić pustą szklaneczkę.

Fakt, była dziwna... Może dlatego, kiedy pakowała walizki, po raz pierwszy zobaczyła w oczach matki ulgę, a nie smutek.

Czuła się jak mężczyzna i nigdy nie stroniła od ciężkiej pracy fizycznej. Do tego w każdym związku wołała grać rolę tej silniejszej, tej, która się opiekuje, lecz sama opieki nie żąda. Facetów na szczęście to zniechęcało, choć Marzenę najprawdopodobniej odstraszyło to, że Eliza chciała ogłosić ich związek jako oficjalny. a ona nie była na to gotowa, nie chciała przyznawać się do swojej orientacji na forum. Pochodziła z bardzo religijnej rodziny i Eliza szanowała jej zdanie. Z czasem przestała napierać, nie chcąc męczyć partnerki, nie lubiła narzucać swojej woli. Nawet muchy by nie skrzywdziła, była niebywale ugodowa. „Masz ci los”, pomyślała, upijając pełną szklaneczkę Martini. Nawet nie chciało jej się wstać do zamrażalki, by zmrozić trunek kostkami lodu. Ogarnął ją marazm.

Wszystko na marne. Ilekroć zaczynała rozmawiać o tym z Dębską, obie, pół żartem, pół serio, dokopywały się załączków tej całej patowej

sytuacji we wczesnym stadium dzieciństwa Elizy. Ojciec był tyranem – nie żeby się znęcał nad nią fizycznie. Raczej psychicznie. Były wyzwiska, leciały kurwy, szmaty, france. Dokładnie pamiętała, jeszcze do teraz brzęczały w jej uszach słowa: „jesteś beznadziejna, zgnijesz w rynsztoku, jesteś zerem”. Ojciec tylko w taki sposób się do niej zwracał. Wcale nie trzeba było się zbytnio starać, aby wywołać w nim furie. Był budowlańcem, stałe w nerwach: a to pracownik nie przyszedł do pracy, a to ktoś nie zapłacił za dobrze wykonaną robotę, wmawiając ojcu Elizy, że to fuszerka. Często miał też wstrzymane zlecenia z magistratu, bo konkurencja kopala pod nim dołki. Niemalże codziennie chodził jak tykająca bomba. Może fakt, że bezpieczniej czuła się z kobietą, był jakimś wytłumaczeniem. Bo po jego śmierci, a miała wówczas dziesięć lat, matka otoczyła ją prawdziwą miłością, a ich dom wypełnił spokój. Nigdy potem nie związała się z innym mężczyzną, twierdząc, że tylko męża kochała. Dlatego Eliza nie potrafiła zrozumieć zdrady, jakiej dokonała Marzena. Owszem, bała się mężczyzn, ale to nie znaczyło, że również w relacjach damsko-damskich nie ciągnęło ją w toksyczne związki. Doskonale pamiętała Ewelinę Marcinkowską i to, jak bardzo zabiegała o względy Elizy. Za wszelką cenę chciała wkupić się w jej łaski. Ta śliczna blondynka była rozwódką i miała pięcioletnią córkę. Zaraz po rozwodzie spotkały się niby przypadkiem, lecz – jak się okazało – wcale to nie był przypadek. Eliza niegdyś mieszkała w niewielkiej miejscowości Strzelno. Nigdy się nie zdradziła ani oficjalnie nie informowała o swoich upodobaniach seksualnych, jednak ludzie tam mieszkający od zawsze plotkowali. Pochodziła z majątnej rodziny, bo jej ojciec przed śmiercią zdążył się dorobić wielkiego majątku: dwa bloki pod wynajem, wielka willa w centrum miasta. Sama Eliza była pracowita i oszczędna, a do tego wykształcona. Mimo męskiej urody miała bardzo oryginalne rysy twarzy i zdrową cerę, była apetycznym kąskiem zarówno dla mężczyzn jak i dla kobiet, które wiedząc, co w trawie piszczy – bo przecież w małej miejscowości zbyt wiele nie da się ukryć – próbowały wszelkich zalotów, być może licząc na lekkie życie. Dwa mieszkania, które Eliza odziedziczyła po

nieżyjącym ojcu, wystarczyły, by Ewelina z walizkami i córką na dobre się zadomowiła. To był długi i bardzo intensywny romans. W łóżku świetnie się rozumiały, a Eliza, na zabój zakochana w partnerce, nie zauważyła w porę, że dla Eweliny to tylko taka gra. Szukała dachu nad głową i sponsoringu. Dodatkowo umawiała się przez internet z mężczyznami na seks. I jeszcze szła w zaparte, mimo że Eliza miała już na to niezbite dowody. Po burzliwym rozstaniu, które zapadło w pamięć przez latające talerze, najbardziej Elizie brakowało Malwinki, córki Eweliny. Pokochała ją jak własne dziecko. Niestety, nie było wyjścia, postanowiła rozstać się z kochanką, sprzedać mieszkania i wyprowadzić się do większego miasta, Gniezna, gdzie kupiła sobie mieszkanie z rynku wtórnego, może i na złość nieżyjącego już ojca. Etat w powiatowej komendzie dostała bez zmrżenia oka. Była dobrą policjantką i miała świetne referencje. W nowym otoczeniu postanowiła grać w otwarte karty, gdyż wiedziała, że przeszłość czasem odbija się czkawką w najmniej oczekiwanym momencie. Już przy pierwszej rozmowie poinformowała komendanta i naczelnika o tym, że jest lesbijką. Nie to, żeby spotkała się z aplauzem, ale jasno określili, że mają to w przysłowiowych czterech literach i że liczą się osiągnięcia. Po czym naczelnik szepnął, że ten i ta zatrudnieni w gnieźnieńskim posterunku też mają skłonności homoseksualne. Poczuli się lepiej. Wiedziała, że w większym mieście to żaden temat tabu, a tym bardziej powód do wstydu. Teraz, sącząc nie do końca schłodzone martini, oddawała się dalszym refleksjom, choć procenty już dawały o sobie znać – mimo wieczornego chłodu czuła, że ma rozpalone policzki. Sama już nie wiedziała, czy to od niewygodnych wspomnień, czy może to coś zupełnie innego. Na przykład ta nowa nieznajoma, co spędza jej sen z powiek.

Nie miała też siły wstać, by zamknąć okno. Sparaliżowana była nie tylko procentami, teraz doszły też wspomnienia minionej nocy. To głównie przez to dzisiejszego dnia w pracy nie potrafiła się na niczym skupić i czuła, że w najbliższym czasie tak już pozostanie. Ciągle pamiętała, jak będąc notabene pierwszy raz w nowo otwartej knajpce

dla gejów i lesbijek „Nemezis”, zauważyła ją. Nie za wysoką szatynkę o słowiańskiej urodzie i mocno zadartym, pyrkowatym nosku. Wyglądała jak z obrazka: pełne usta, rumiane policzki, niebieskie oczy, kolor włosów jak u sarenki, a do tego była sama. Eliza ledwo przekroczyła próg knajpki – choć sama wchodziła tam niepewnie i przed wejściem dwa razy się zastanowiła, czy jednak warto, czy może wstyd – ujrzała nieznaną dziewczynę. Ich spojrzenia się skrzyżowały, wiążąc na moment. Eliza, siedząc przy barze, nawet nie potrafiła udawać, że jej nie widzi. Co rusz spoglądała w stronę nieznaną. Dziewczyna w białej sukience również była zaciekawiona – chyba że Eliza chciała tak to widzieć. Wypiła jedno piwo, potem szybką setkę, tańcząc na środku parkietu, ze dwa razy otarły się o siebie. Lecz żadna z nich nie miała odwagi podejść i się przywitać.

Policjantka potrząsała głową, dopijając ostatni łyk białego wina. Szklaneczka zapełniła się kolejny raz. Nie miała ochoty i siły wstać, by w kuchni przyzdobić rant drinkówki plasterkiem soczystej limonki i wrzucić do niej trzy kostki lodu. Dla niej największym teraz problemem było to, że ta drobna, wręcz idealna nieznaną, nie chciała wyjść jej z głowy. Wyglądała na taką czystą. Oddała się refleksji oraz rozpamiętywaniu minionej nocy. Uznała, że to lepsze, niż wspomnianie swoich byłych kochanek. Prychnęła.

Wtedy w lokalu coś się wydarzyło, jakby opatrność wzięła sprawy w swoje ręce. DJ nagle zapodał jakiś wolny kawałek. Eliza była już mocno znieczulona procentami, nie krępowało ją w jakim jest miejscu i co za moment zrobi. Prawdą było, że w swoim rodzimym mieście w życiu nie odważyłaby się wejść do knajpki dla gejów i lesbijek. To było nie do pomyślenia. Ludzie zjedliby ją żywcem, a plotka, która by się potwierdziła, nie dałaby jej spokojnie żyć. Nawet pani ze spożywczaka zapewne nie wpuściłaby jej do środka. Takie to było miasteczko.

W Gnieźnie czuła się wybornie, anonimowo. I nawet obecność Wojtka Jerzyka, geja z kryminalnej, czy Zośki Podmorskiej, lesbijki z prewencji, wcale a wcale jej nie krępowała. W końcu mieli ten sam problem.

Była wolna i szorowała drewniany parkiet w rytm muzyki. Czując na swoim pośladku drobną, zapewne kobiecą dłoń, obejrzała się za siebie. Lecz nieznajoma dziewczyna, pesząc się nieziemsko – jakoś tak dziwnie, bo przecież przed momentem dotykała jej tyłka – zaczęła uciekać. A ona nie mogła jej dogonić, bo nie była w stu procentach pewna, czy to ta dziewczyna ją musnęła. Wmurowało ją w parkiet. Fakt, do teraz czuła jej rozpaloną dłoń, a pośladek ją parzył. Dlatego nie mogła przestać o niej myśleć. Wyczekiwała kolejnego czwartku, bo tylko w czwartki w Nemezis były potańcówki, mając nadzieję, że trunek w jej szklaneczce przyspieszy wskazówki zegara. Wiedziała, że gdy tylko spotka nieznajomą, to pierwsza wyciągnie dłoń na przywitanie, pozna jej imię, sama się przedstawi, zagai, może uda jej się sprzedać jakąś zabawną anegdotkę. Zastanawiała się, jak zabłysnąć, by przekonać do siebie młodą dziewczynę – zdaniem Elizy wyglądała na jakieś dwadzieścia lat. „Może i jest młoda”, pomyślała trzydziestodwulatka, „ale jednak szuka wśród starszych, świadczyło o tym muśnięcie jej dłoni”. Pokiwała głową. Tego wieczoru więcej się nie spotkały, wyglądało to tak, jakby dziewczyna uciekła z dyskoteki. Eliza wypatrywała ją wśród całej chmary kołyszających się gejów i lesbijek, ale stolik pod ścianą, przy którym siedziała zupełnie sama, pozostał pusty aż do zamknięcia. Policjantka posmutniała i straciła wtedy ochotę do zabawy. Nad ranem, kiedy przyszła do swojego nowego mieszkania, z tego całego żalu po raz pierwszy nie miała siły zrobić demakijażu. Zresztą nie nakładała zbyt dużo mazideł, więc to nie był mus. Padła na łóżko wykończona, a wkrótce nieznajoma z baru jej się przyśniła. Dlatego dzisiejszego dnia nie potrafiła się na niczym skupić. W pracy była jak warzywo. W tym śnie ona i nieznajoma były nagie i drżały. Ich rozgrzane do czerwoności cipki ociekały i obie robiły wszystko, by doprowadzić się wzajemnie do jeszcze większej ekstazy. W tę noc zrozumiała, że ten kto kocha, potrafi dawać rozkosz drugiej połówce. Czyżby wcześniej nie kochała?. Dlatego Marzena odeszła? To dlaczego rozpamiętuje przeszłość...

– Jestem nieźle pokręcona, w dodatku pijana – powiedziała na głos. – To dlatego trafiałam na tak toksyczne przyjaźnie. Zawsze ktoś mnie wykorzystywał, a ja nie potrafiłam wyciągnąć z tego żadnej nauki, no może na początku. Potem jednak bardzo szybko dawałam się owinąć dookoła palca. – Spojrzała w sufit i przewróciła oczyma. – Będzie dobrze. – Miała nadzieję, że jej słowa się uwiarygodnią.

Ze zmęczenia, a może z upojenia alkoholowego, przysnęła na siedząco.

Spis treści

Prolog	4
Rozdział I	7
Rozdział II	20
Rozdział III	28
Rozdział IV	44
Rozdział V	53
Rozdział VI	63
Rozdział VII	74
Rozdział VIII	94
Rozdział IX	106
Rozdział X	121
Rozdział XI	132
Rozdział XII	139
Rozdział XIII	147
Rozdział XIV	160
Rozdział XV	168
Rozdział XVI	175
Rozdział XVII	185
Rozdział XVIII	195
Rozdział XIX	200
Rozdział XX	208
Rozdział XXI	214

Rozdział XXII**222**

Epilog**226**